



KIH – α

Kurier Instytutu Historii

№ 5 (12), R. II

www.sknh.uni.lodz.pl

luty 2006

Po krótkiej przerwie triumfalnie powraca ulubiony miesięcznik łódzkich historyków.

KIH-a lutowa (a może ultralutowa?) to jak zwykle melanz tematów bardziej i mniej poważnych, zamkniętych w magicznej dwunastce stron dwunastego numeru. Wracamy do wątku powstań i dumamy nad monarchiami. Dawne wizje przyszłości sąsiadują z dzisiejszymi, a l t e r n a t y w n y m i . Prosto z m e t r o p o l i i t r a f i a m y – znów – do Lutomierska. Koniec jest nie mniej tajemniczy – magiczno-kryptologiczny.

Miłej lektury

Redakcja



Tajne Państwo Polskie 1862 – 1864

Ogromna sympatia, jaką darzę w całej, bardzo bogatej zresztą, historii naszego kraju wszelkiego rodzaju ruchy narodowowyzwoleńcze Polaków w epoce zaborów, a zwłaszcza Powstanie Styczniowe, skłoniły mnie do wyjaśnienia pewnej bardzo istotnej, związanej z tym właśnie okresem kwestii, a mianowicie korzeni i samego pojęcia Tajnego Państwa Polskiego.

Tajne bądź też Tajemne Państwo Polskie – czym ono właściwie było, jakie są jego rzeczywiste korzenie? Gdyby zadać kilku zwykłym przechodniom na ulicy pytanie, z czym im się kojarzy ten termin, to jestem święcie przekonany co do tego, że 99% pytanych utożsamiłoby go z II wojną światową, walką z okupacją hitlerowską na ziemiach polskich, Armią Krajową itd. Przyznać muszę, że nie mam prawa negować ich odpowiedzi, bo ci ludzie po prostu będą mieliby racje – rzeczywiście takie podziemne państwo polskie w okresie II wojny światowej istniało¹. Nie zgodzę się natomiast nigdy z osobą, która powie mi, że państwo to było pierwszą tego typu formacją w dziejach Polski. Nie wszyscy zapewne zdają sobie sprawę z tego, że konspiracyjne państwo polskie, wytworzone w czasie okupacji hitlerowskiej, czerpało całymi garściami swe wzorce z istniejącego blisko osiemdziesiąt lat wcześniej tj. w czasie Powstania Styczniowego, takiegoż samego organizmu.

Nazwa zinstytucjonalizowanej rzeczywistości polskiej lat 1862-1864 – „tajemne państwo polskie” – powstała współcześnie, a nie jak mniemają niektórzy badacze, zostało transponowane ex post z okresu drugiej wojny światowej². Już od samego początku nazwa tajnego, konspiracyjnego i podziemnego państwa polskiego dla rzeczywistości polskiej okresu Powstania Styczniowego była przez wielu historyków i znawców tego zagadnienia stosowana przemiennie. Tajne państwo polskie, jako nazwę najwłaściwszą, przyjęli m.in. autor pierwszej pracy o organizacji Powstania Styczniowego Edward Maliszewski i najwybitniejszy znawca epoki Stefan Kieniewicz³. Państwo to, zdaniem Agatona Gillera, członka Komitetu Centralnego Narodowego i Rządu Narodowego Polski okresu Powstania, a następnie historyka insurekcji, powstało w wyniku przekształcenia się w 1862 r. Organizacji Narodowej, stworzonej nieco wcześniej przez „obóz czerwonych”, w tajemne państwo polskie⁴. Twórcą był wyłoniony z ruchu w połowie 1862 r. Komitet Centralny Narodowy, który przekształcił się w Rząd Narodowy Polski. Cała struktura organizacyjna tegoż państwa była niezwykle złożona i skomplikowana. Jej omówienie wymagałoby dość obszernych wyjaśnień na ten temat, na co niestety nie pozwala mi ze względów technicznych ten krótki artykuł⁵. Powołam się zatem i tym razem na autorytet znawczyni tego zagadnienia Franciszki Ramotowskiej, by w jak największym skrócie przybliżyć budowę konspiracyjnego państwa. *Na państwowość tę składały się następujące elementy: własny rząd i własna administracja z agendami zagranicznymi, skarb, siły zbrojne, a wreszcie element najważniejszy – naród zamieszkujący odwiecznie to samo terytorium, naród o wielkiej przeszłości państwowej i kulturze, który zdolny był teraz wyłonić z siebie władze rodzime od szczybla najwyższego – Rządu Narodowego do najniższego – parafialno-gminnego i obdarzyć je posłuchem⁶.* Jest to fenomen, gdyż stworzenie w warunkach ciągłego ucisku i prześladowań ze strony władz rosyjskich struktur organizacyjnych praktycznie identycznych, bo posiadających te same najważniejsze instytucje, co rząd zaborczy, a zatem swego rodzaju „państwa w państwie” wymagało ogromnych poświęceń i świadczyło o nieprzerwanej żywotności narodu, który nie popadł w „chocholi sen zimowy” lecz szykował się do walki ostatecznej o odzyskanie swego utraconego bytu.

Karol Jadczyk
@o2.pl

¹ Nazwa tajne, podziemne bądź konspiracyjne państwo polskie może być stosowana przemiennie.

² F. Ramotowska, *Narodziny tajnego państwa polskiego 1859-1862*, Warszawa 1990, s. 5.

³ *Tamże*, s. 6.

⁴ A. Giller, *Historia narodu polskiego w 1861-1864 r.*, t. I, Paryż 1867, s. 64-67.

⁵ Zainteresowanych odsyłam do literatury fachowej, zwłaszcza do zacytowanej monografii Franciszki Ramotowskiej.

⁶ F. Ramotowska, *dz. cyt.*, s. 11.

MONARCHICZNIE (IV)

MONARCHIA WSPÓŁCZESNA, CZYLI TRWANIE W PRZEMIANACH

Monarchia współczesna – to pojęcie od początku może budzić wątpliwości. Jak zawsze w dziejach powszechnych, tak przecież i dzisiaj istnieje wiele wersji tej samej ustrojowej instytucji, różnych genezą, kręgiem cywilizacyjnym, kierunkiem wewnętrznych przemian. Monarchii jest na aktualnej mapie politycznej globu kilkadziesiąt i łatwo można dostrzec istnienie kilku typów. Poprzez powszechną konstytucjonalizację państw świata stopniowo upodobniły się one do siebie, ale nadal nie sposób traktować ich jednakowo. Dlatego zaznaczam, że jeśli używam określenia wymienionego w tytule, mam na myśli w szczególności monarchię typu konstytucyjnego, głównie w wersji parlamentarnej. Taką, która jest właściwie jedyną formą obecną w europejsko-anglosaskim kręgu cywilizacyjnym, ale do której upodobniają się monarchie pozaeuropejskie – np. Japonia czy Malezja. Nie oznacza to jednocześnie wartościowania tego właśnie typu w konfrontacji z innymi istniejącymi, co już w tym miejscu chcę mocno zaznaczyć.

Zwycięstwo ustroju jednoznacznie demokratycznego, stopniowa eliminacja cenzusów i ograniczeń w dostępie do sprawowania władzy – faktyczna i całkowita realizacja dawniejszej przecież idei suwerenności ludu (narodu) – nie mogła nie wpłynąć na charakter władzy koronowanych głów. Zmiany, dokonujące się przy jednoczesnym zachowaniu i poszanowaniu wielowiekowych tradycji, szły tak daleko, że rodziły obawy o marginalizację albo wręcz zanegowanie sensu istnienia monarchii. Jak to już zostało powiedziane w pierwszym odcinku, pogląd ten nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Monarchia współczesna – warto powiedzieć to raz jeszcze – jest kolejną, efektywnie i celowo działającą odsłoną tej samej kluczowej instytucji w dziejach ludzkości, nie schyłkową, nie marionetkową, a przenoszącą w realia demokratyczne te tradycje i wartości, które z normami dzisiejszymi nie kolidują. Jest to ustrój żywy, wciąż zmieniający się i nadal dla wielu społeczeństw kluczowy.

Jednym z najistotniejszych przekształceń, które charakteryzują współczesne monarchie, tak ważnym, że w skali dziejów powszechnych rewolucyjnym, jest zmiana zasad sukcesji tronu. Przedmiot to, jak wiadomo, fundamentalny, wpływający nie raz i nie dwa na dzieje nie tylko poszczególnych krajów, ale i całego kontynentu. Stał się w przeszłości zarzewiem wielu wojen sukcesyjnych, w których racje dynastyczne i genealogiczne stawały się szpadami w rękach rywalizujących mocarstw. Zainteresowanie zagadnieniem spadło, gdy zależność między dziedziczeniem dynastycznym a istnieniem i obrębem terytorialnym państw zanikła. Mówiąc prościej, gdy monarcha stał się przede wszystkim symbolem narodu, nie zaś zwornikiem i nawigatorem nawy państwowej, gdy przeważała parlamentarna wersja ustrojów politycznych, problem sukcesji z międzynarodowego stał się wewnętrzny i niesporny. To nie bez znaczenia, jeśliby zastanawiać się, dlaczego rewolucyjne przemiany były/są możliwe.

Na czym te ważne zmiany polegają? Na przestrzeni stuleci istniało wiele praw, regulujących zasady następstwa tronu. Tam, gdzie nie obowiązywała zasada swobodnej elekcji spośród wszystkich zgłoszonych kandydatów, dziedzicami zostawali krewni bądź powinowaci poprzednich władców (pomijam szczególne sytuacje wygaśnięcia dynastii). W wielu państwach w grę wchodził każdy (z reguły każdy dorosły) przedstawiciel dynastii. Odnosi się to do wielu monarchii azjatyckich, zwłaszcza zbudowanych przez plemiona nomadów (ludy tureckie), gdzie dynastią był tzw. klan charyzmatyczny (tj. ten, którego członkowie posiadają charyzmat sprawowania władzy). Czynnikiem regulującym, mającym ograniczyć walki o tron, bywa w takich systemach np. decyzja odchodzącego władcy, która jednak nie zawsze musi być decydująca. Innym sposobem zapobieżenia walkom o władzę, nieodłącznym w razie mnogości książąt-dziedziców było prawo senioratu, wskazujące na najstarszego wiekiem żyjącego męskiego przedstawiciela rodu jako na następcę tronu. Jak wiadomo, mogło ono wiązać się z istnieniem osobnej, wyłączanej z dziedziczenia przez poszczególne linie dzielnic, związanej z funkcją seniora. Można by wymieniać długim szeregiem inne, ciekawe i skomplikowane regulacje sukcesyjne, jak bliższosc krwi, koronacja *vivente rege* albo ultimogenitura, niemniej w kontekście monarchii współczesnej trzeba przede wszystkim wspomnieć na sukcesję najbardziej, wydawałoby się, typową (co nie znaczy najpospolitszą w dziejach) – dziedziczenie przez

potomstwo panującego. W warunkach europejskich oznaczało ono i oznacza do dziś przede wszystkim prawo primogenitury (pierworództwa), a więc dziedziczenie przez najstarszego potomka w linii prostej. Najczęściej oznaczało to dziedziczenie przez najstarszego syna, choć po panowaniach trwających wiele dekad na tron czasem wstępował i prawnuk panującego (rok 1715 we Francji). Zasady są powszechnie znane, nie trzeba ich przypominać, warto natomiast wyraźnie oddzielić dwa warianty, kształtujące primogeniturę z sytuacjach szczególnych. Pierwszy z nich, całkowicie wykluczający kobiety z dziedziczenia, umownie zwany prawem salickim, regulował następstwo np. we Francji, państwach dynastii sabaudzkiej (czyli także we Włoszech), Brandenburgii, Prusach i II Rzeszy, a także Japonii. Zasada ta powoduje, że po bezdzietnym – ale też niemającym syna! – monarsze tron obejmuje jego najbliższy, najstarszy agnat, np. stryj albo brat stryjeczny, ale czasem nawet krewny w dalekim stopniu, głowa młodszej linii dynastii. Drugi wariant, regulowany często tzw. prawem półsalickim, dopuszcza dziedziczenie przez kobiety praw do tronu (nie zawsze samego tronu), jeśli władca ma jedynie córki, bądź gdy nie pozostał przy życiu żaden agnat z najbliższej rodziny zmarłego władcy. Następcą może być zatem córka albo jej mąż, po nich zaś ich zstępni. W ten sposób kształtowała się linia władców m. in. w Austrii, Anglii, wielu państwach niemieckich i włoskich.

Niezależnie od różnic między systemem salickim i półsalickim, przedstawionych powyżej w sposób bardzo uproszczony, w obu co do zasady obowiązywało prawo męskiej (agnatycznej) primogenitury. Dopóki w rodzinie panującej rodzili się synowie, mieli oni pierwszeństwo w prawach do korony przed swoimi siostrami, kuzynkami, ciotkami. To właśnie uległo zmianie – część z monarchii współczesnych wprowadziło zupełnie nową zasadę primogenitury bezwzględnej (kognatycznej). Już nie najstarszy syn, a najstarsze dziecko bez względu na płeć, staje się *ex lege* następcą tronu. Taki zapis do praw sukcesyjnych wprowadziła najpierw Szwecja (w 1980 r.), następnie Holandia (poprawniej mówiąc Królestwo Niderlandów, w 1983 r.), Norwegia (w 1990 r.) i Belgia (w 1991 r., ale tylko w odniesieniu do potomstwa księcia Liège, który dwa lata później stał się królem Albertem II). Synów uprzywilejowują nadal Wielka Brytania*, Hiszpania, Dania, Luksemburg, Monako (czego dowodem ubiegłoroczna sukcesja Alberta II po Rajnerze III); w Liechtensteinie kobiety w ogóle nie mają prawa do tronu. Rysujący się podział nie jest zapewne trwały, do rezygnacji z wartościowania płci w prawach do korony szykuje się Hiszpania, być może także Japonia (o ile młodszemu bratu następcy tronu nie urodzi się w najbliższym czasie syn).

Aby zrozumieć, na czym polega rewolucyjność zmiany praw sukcesji tronu, trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jedną zmianę niebagatelnego znaczenia: choć większość konstytucji nadal zawarowuje konieczność zgody monarchy na małżeństwo jego potomka, to w drugiej połowie XX w. większość monarchii europejskich zrezygnowała z obowiązku wyboru książęcych mężów i żon spośród dynastii i rodzin arystokratycznych. Przykłady żon obecnych następców tronu Hiszpanii i Norwegii są dowodem skali przemian – problem różnicy stanu i przeszkoda małżeńska ewentualnego poprzedniego związku przestały mieć znaczenie. Oba procesy brane pod uwagę łącznie będą w najbliższych pokoleniach powodować znaczące przeobrażenia monarchii – pojęcie ‘dynastia’ politycznie i genealogicznie ostatecznie rozdzieli się, a każdy pełnoprawny obywatel będzie mógł, przy wielkim co prawda szczęściu, być „ojcem królów”. Demokratyczny rys współczesnej monarchii pogłębi się. Poza tym częściej jeszcze niż dotychczas na tronach zasiadać będą kobiety. Ciekawe tylko, jak zostanie rozwiązany problem tytułu męża królowej. Jak dotąd, żona następcy tronu po jego wstąpieniu na tron otrzymuje tytuł królowej, mąż następczyni tronu w analogicznej sytuacji – tytuł księcia[-małżonka]. Czy za likwidacją dyskryminacji w dziedziczeniu podąży likwidacja dysharmonii w tytułach ich rodziców?

Andrzej Kompa
andrzejkompa@o2.pl

*Na aktualnej liście osób uprawnionych do brytyjskiego tronu znajduje się 866 pozycji. Obecność na niej nie ma wobec tego w przytłaczającej większości przypadków żadnego prawnego znaczenia, ma natomiast wymowę symboliczną, nobilituje, jest wyrazem tradycji.

Dobra klasyka nie jest zła:

„Między głową i rękami winno być serce”

Świat po Wielkiej Wojnie, jak nazywali ją ówcześni, pełen był niepokoju. System wersalski miał przynieść pewną stabilizację i poczucie bezpieczeństwa, jednak jak wiadomo nie udało się tego w pełni osiągnąć. Wojna była źródłem poważnych finansowych kłopotów ludzi i państw, w których żyli. W Niemczech obalono rządy cesarskie i wprowadzono republikę, w Rosji wymordowano rodzinę panującą i zaprowadzono rządy rad robotniczych. Prostemu człowiekowi wcale nie żyło się wspaniale, czego świadectwem jest duża w tym okresie popularność różnego rodzaju ruchów lewicowych, zarówno socjaldemokratycznych, jak i komunistycznych. Nawet zahamowanie pochodu Armii Czerwonej nie zatrzymało tego procesu, najwyżej osłabiło. W tym też okresie na sile i znaczeniu zyskała propaganda, a co za tym idzie film, o którym Lenin mawiał, że jest *najważniejszą ze sztuk*^α.

W 1925 r. wielki teoretyk filmu, genialny reżyser Siergiej Eisenstein zrealizował film – legendę, ze słynnymi *schodami odeskimi* mitologizujący klasę robotniczą, karzącą burżuazję za jej podłe występki. Rewolucja jest właściwą drogą do postępu. Prędzej czy później w każdym kraju klasa robotnicza dojrzeje do tego, by obalić uciskających ją kapitalistów, obszarników czy kułaków i wprowadzić kraj na postępową drogę komunizmu. Zaś to, co będzie się temu przeciwstawiało, zostanie zgniecione. *Pancernik Potiomkin* mówi też, że w każdej rewolucji potrzebne są ofiary, ale i to właśnie one ją napędzają^β.

Odmienny od Eisensteinowskiego punkt widzenia reprezentował Fritz Lang. Dla niego rewolucja była zagrożeniem. Wywracała wszystko do góry nogami. Była agresywna i zła, była bratobójczą wojną, pochłaniającą setki niepotrzebnych ofiar. Rzeczywistość Niemiec okresu powojennego spowodowała zwrot wielu artystów i intelektualistów w stronę pacyfizmu, niechęci do wojny jako rzeczy niehumanitarnej. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że w czasie I wojny światowej po raz pierwszy użyto broni chemicznej. Wystarczy tu wymienić najbardziej oczywiste nazwiska, jak Tomasz Manna czy Ericha Marię Remarque’a, którego książki hitlerowcy zresztą później palili. W tym nurcie znajdował się też Lang. Wierzył on, iż mimo wzajemnej niechęci i sprzeczności interesów da się uzyskać *consensus* obu środowisk, tj. robotników i przedsiębiorców. Właśnie dlatego nakręcił *Metropolis*.

Film ten wszedł na ekrany kin w 1927 roku i został wyprodukowany przy ogromnym, jak na ówczesne czasy, budżecie sześciu milionów marek, przy pierwotnym założeniu półtora miliona, czym doprowadził firmę go produkującą niemal do bankructwa. Jak w większości obrazów tego okresu wpleciono w fabułę wątek miłosny, jednak jest on tylko dodatkiem do tego co naprawdę istotne.

W gigantycznym mieście przyszłości, zwanym Metropolis, społeczeństwo dzieli się wyraźnie na dwie warstwy. Bogaci, mieszkający w wielkich i wspaniałych wieżowcach, których dzieci uczestniczą w igrzyskach i mają dostęp do Ogrodów Rozkoszy. Poniżej zaś funkcjonują rzesze biedaków, trzymające na swych barkach wszystkie aspekty życia miejskiego, lecz przy tym pogardzane, źle opłacane i wykorzystywane. Goniąc za tajemniczą dziewczyną syn najpotężniejszego potentata poznaje prawdę o ich sytuacji. Zastępuje jednego z robotników i przekonuje się, jak ciężko jest zapracować na ochłapy. Robotnik nie umie jednak skorzystać z darowanych mu pieniędzy i roztrwania je. Młodzieniec trafia na tajne zebranie robotników w katakumbach, gdzie potok ich wściekłości jest hamowany przez dobrą i miłosierną Marię, uczącą ich Słowa Bożego, przykazującą cierpliwość i czekanie na Wybawiciela.

^α Jest to oczywiście daleko idące uproszczenie, jednak ten temat rozrósłby się daleko bardziej, a nie zamierzam tutaj się nad nim rozwodzić bardziej, aniżeli to konieczne.

^β Na temat samego *Pancernika*... prawdopodobnie napiszę za jakiś czas.

Tak zaczyna się opowieść o pojednaniu. Przy całej swej pompatycznej, zresztą zupełnie wtedy zrozumiałej, wymowie, nie stroni ona od odpierania tez stawianych przez bolszewików. Rewolucja prowadzi do nienawiści, zatracenia człowieczeństwa. Przez nią zapominamy o najbliższych, niewinnych, którzy cierpią przez nasze zbytne podniecenie, pychę i złudną wiarę, iż mimo braku kwalifikacji umiemy zrobić coś, o czym nie mamy pojęcia. Lang stawia wyraźną tezę: robotnicy nie mogą przeprowadzić rewolucji, gdyż nie potrafią gospodarować podarowanymi pieniędzmi. Z kolei przedsiębiorcy bezdusznie ich wykorzystujący są sami winni rozruchów, gdyż człowiek nie da się bez przerwy wyzyskiwać. Musi istnieć porozumienie.

Film Langa jest też pełen odniesień do *Starego Testamentu*. Począwszy od tych wprost – jak Wieża Babel, pomieszanie języków, symbolizujące brak porozumienia, jak i tych odrobinę bardziej subtelnych (przecież ów młodzieniec jest niczym Mojżesz). Wyłania się z warstwy rządzącej i nakłania do dialogu. Sam fakt, iż właśnie od przedsiębiorców ma wyjść inicjatywa nie jest bez znaczenia. Oni są bowiem rozumem, jeśli tylko zechcą, mogą uczynić ten świat lepszym. Potrzeba im tylko serca.

Mottem tego filmu jest *Między rękami a rozumem winno być serce*, mniejsza o to czy jest łopatologiczne czy nie. W kontekście całego obrazu jest niezwykle wymowne. Piękne i szczytne. Szkoda, że mimo tego Niemcy dali się ponieść fali nienawiści. Co ciekawe ponoć był to jeden z ulubionych filmów Adolfa Hitlera (podobnie jak ośmieszający go i Mussoliniego *Dyktator* Chaplina, na którym ponoć śmiał się do rozpuku).

Istnieje aż osiem wersji tego dzieła, z których każda różni się ścieżką dźwiękową i montażem. W jednej nawet wykorzystano utwór grupy Queen *Love Kills* (w teledysku do piosenki *Radio Ga Ga* wykorzystano z kolei sam film, gdyż był to ulubiony obraz Freddie'go Mercury'ego). Film został wpisany na światową listę dziedzictwa kultury UNESCO i był inspiracją dla wielu filmów science fiction, a efekty specjalne w nim wykorzystane do dziś budzą uznanie specjalistów.

Nie opisałem tu innych wątków, gdyż nie starczyłby mi miejsca, a te uznałem za szczególnie interesujące, nas, studentów historii. Mam nadzieję, że choć minimalnym stopniu udało mi się przybliżyć czytelnikowi ten obraz, zachęcić do obejrzenia i przekonania się, iż pewne rzeczy się nie starzeją... Mimo upływu lat. ☺

Przemysław Damski
damen32@wp.pl

PS Dziękuję dr. Sławomirowi Nowinowskiemu za przypomnienie mi o kinie dwudziestolecia międzywojennego. Wszak ta rubryka jest po to, by pokazywać dzieła wcale nie najmłodsze, za to bardzo istotne.

Zespół redakcyjny: Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak, Sylwia Wielichowska.

Współpraca: Sebastian Adamkiewicz, Justyna Antczak, Przemysław Damski, Karol Jadczyk, Grzegorz Lesiewicz, Karolina Sikala, Kamil Śmiechowski.

Rycerzka projektował Przemysław Damski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Intrologatorskiej
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.
Nakład 250 egz.**

Alterglobalizm – sens, który wydobyl się z zadym

Mieliśmy piękny słoneczny dzień. Warszawa, przez którą na co dzień trudno jest przejechać, nagle opustoszała. Przygotowana na nagły i niespodziewany kataklizm, czuwała, czekała. W witrynach sklepów stały potężne płyty ze sklejki, a po ulicach spacerowały kordony policji z całego kraju. Wszędzie czuć było atmosferę podniecenia i niepewności.

To nie fragment powieści któregoś z bardziej płodnych polskich pisarzy, opowiadających o naszej szarej rzeczywistości. To bardziej lub mniej udana próba opisanie atmosfery, jaka towarzyszyła spotkaniu Europejskiego Szczytu Gospodarczego w kwietniu 2004 roku. Stolica drżała wtedy przed setkami alterglobalistów, którzy mieli zjechać do Warszawy. Demonstracja przebiegła jednak spokojnie. Szumnie zapowiadana przez media dewastacja miasta nie nastąpiła. Jakże inne były to obrazki, niż te, które obserwowaliśmy w Seattle czy Pradze. Tam widzieliśmy rozwścieczone tłumy wandalów dewastujących miasta, bijących się z policją, palące samochody, stawiające barykady. Czasem przemknęło nam gdzieś jakieś bliżej nieokreślone hasło, nawołujące do większej sprawiedliwości i końca dyktatu pieniądza, ale to nie było istotne. Istotna była rozróżba. Tak wyglądały korzenie alterglobalizmu. Niczym nieuzasadniony wybuch agresji, organizowany pod szczytnymi hasłami sprawiedliwości, równości i tolerancji. Od tego czasu minęło już kilka lat. Świat zmienił się niewiele, ale alterglobalizm bardzo. Nie jest to już masa różnych lewackich bojówek, zbierających się doraźnie na kolejną zadymę. Na naszych oczach powstał ruch, których powoli dojrzewa i rośnie w siłę. Kim są więc alterglobaliści? Czy to nowe wcielenie marksizmu, a może nowa jakość? Bunt studencki, czy może ruch kształtujący się z innych pobudek? Czym jest ten do dziś budzący strach i niepewność wśród wielu ludzi ruch? Czego chcą dzisiejsi alterglobaliści?

Źródła

Kiedy w 1989 roku upadał system komunistyczny, wielu intelektualistów odtrąbiło „koniec lewactwa”. Związek Radziecki, jego historia, zbrodnie przeciwko ludzkości, kłamstwa, którymi karmił świat przez wiele dekad, miały ostatecznie skompromitować marksistowską utopię, a wraz z nią wszelkie myślenie o świecie sprawiedliwym, równym, bez ubóstwa. Zachodnie socjaldemokracje utraciły już wówczas swój dawny wymiar. Odcinając kupony od własnych sukcesów wyborczych zaczęły traktować swoje socjalne programy wyborcze jako dodatki. Świat lat 90-tych to świat bezustannego i niezwykle szybkiego postępu. W ciągu kilku lat świat opatulila bezkresna sieć internetowa, dzięki której przepływ informacji przestał być problemem. Globalna wioska przestała być wymysłem niepoprawnych pisarzy science fiction, lecz stała się czymś realnym. Praktyczne zlikwidowanie barier w komunikacji i błyskawiczny przepływ informacji spowodowały, że na całym świecie wzmocniły się procesy globalizacyjne. Wzmocniła się rola wszelkich organizacji międzynarodowych, monitorujących przepływ kapitałów, kreujących światową gospodarkę. Rewolucja systemowa w krajach Europy Środkowo-Wschodniej i liberalizacja ich rynków wewnętrznych umożliwiła szeroką ekspansję gospodarczą. Procesy integracyjne powodowały powolne zanikanie wszelkich przeszkód prawnych czy fiskalnych. Ten niesłychany postęp spowodował również znaczne wzbogacenie się głównych potentatów ekonomicznych na świecie. Koncerny międzynarodowe dzięki nowym rynkom zbytu umocniły swoje pozycje w gospodarce światowej.

Jednocześnie jednak świat nie poradził sobie z licznymi problemami. Na ziemi ciągle istniały ogromne obszary biedy, a w niektórych krajach ludzie żyli w skrajnej biedzie poniżej wszelkich poziomów egzystencji. Według wyliczeń, 358 światowych miliardów przewyższa połączone roczne dochody blisko trzech miliardów ludzi, a połowa ludzi na świecie musi wyżyć za 2 dolary dziennie[♦]. Ofiarą ekspansji gospodarczej stała się też

[♦] *Alterglobalizm, antyglobalizm – co to takiego?*, [w:] <http://ibw.com.pl/modules/xfsection/article.php?articleid=126>

przyroda, którą sukcesywnie wyniszczała eksploatacja oraz zanieczyszczenia. Ta społeczno-gospodarcza schizofrenia była główną przyczyną tego, że idee, które wydawały się skompromitowane przez system sowiecki, zaczęły powracać. Różne środowiska zwracać zaczęły uwagę na szkodliwe aspekty gospodarki neoliberalnej. Pojawili się też intelektualiści tacy jak Chomsky, którzy w swoich pracach krytykowali postępujące procesy globalizacyjne i wskazywali właśnie na nie jako na główną przyczynę narastania biedy i nierówności. Idee te trafiać zaczęły na chłonne podłoże zachodnioeuropejskich, a także amerykańskich, ruchów studenckich, anarchistycznych czy też ekologicznych. Trafiono więc w niszę, osieroconą po upadku systemu komunistycznego. Ponieważ sprzeciwiano się globalizacji, ruch ten zaczęto nazywać ruchem antyglobalistycznym. Nie można jednak powiedzieć, że był to ruch jednolity. Wręcz przeciwnie, grupował on ludzi o poglądach bardzo różnych. Utożsamiali się z nim ekolodzy, anarchiści, marksiści, trockiści, młoda socjaldemokracja, feministki, ruchy chrześcijańskie, a nawet pewne grupy nacjonalistyczne. Łączyło ich jedno – niechęć do międzynarodowych korporacji i organizacji finansowo-gospodarczych.

Jak to bywa w historii, trudno jest wyznaczyć konkretną datę powstania ruchu. Dla jednych takim wyznacznikiem był bunt ludności indiańskiej w meksykańskim stanie Chiapas, znany jako powstanie zapatystów. Kariere międzynarodową ruch anty- czy alterglobalistyczny rozpoczął w roku 1999, kiedy doszło do rozruchów w Seattle. Pierwszy raz jednak terminu *antyglobalizm* użyto w roku 2002, kiedy odbywało się pierwsze Europejskie Forum Społeczne we Florencji. Stworzenie tego terminu uświadomiło członkom ruchu, że łączy ich pewna wspólnota poglądów i idei. Ta świadomość spowodowała, że pierwszą rzeczą, jaka zrobiono, była walka z niefortunną nazwą. Sympatycy ruchu zdali sobie bowiem sprawę, że utożsamianie ich tylko i wyłącznie z destruktywnym działaniem nie jest dla nich korzystne i nie powoduje wzrostu popularności. Jednocześnie chciano się odciąć od ruchów związanych z nacjonalistami, którzy sprzeciwiali się globalizacji kulturowej i skupiali na narodowej suwerenności, której globalizacja miała zagrażać. Zaczęto więc lansować termin *alterglobalizm* oznaczający tyle, co „inny globalizm”, „inna globalizacja”. Chciano więc stworzyć wrażenie, że nie jest to siła wyłącznie destruktywna, ale że przez chęć budowania innej globalizacji będzie to ruch konstruktywny. Negowano też argument przeciwników alterglobalistów, że są przeciwni globalizacji, a jednocześnie używają telefonów komórkowych, internetu czy innych wynalazków globalnej wioski. Alterglobaliści twierdzili, że samo kurczenie się świata nie jest złe, złe są nierówności i niesprawiedliwości, przez to kurczenie tworzone. Zaczęli też twierdzić, że pewne aspekty globalizacji są korzystne, np. „uświatowienie” prawa pracy czy innych praw. Powoli więc alterglobaliści zaczęli kształtować zręby swojego programu. Programu, który miał połączyć amorficzny do tej pory ruch.

(CDN)

Sebastian Adamkiewicz
sebamatis@poczta.onet.pl

W sprawie pewnego tramwaju

Zainspirowana terenowymi przygodami Zbigniewa G. (patrz „KIH-a” grudzień 2005), postanowiłam zwrócić uwagę na kilka absurdów i paradoksów towarzyszących podróżowaniu tramwajami linii „43” i „43bis”. Korzystając z okazji, wyjaśniam różnice niewtajemniczonym: „43bis” jeździ tylko do Konstantinowa, a „43” nieco dalej, do Lutomierska, co w przeliczeniu na jednostki czasowe daje 23 minuty snu więcej. Tramwaje znane są również z tajemniczych nazw: *pocisk*, *taryfa*, *torpeda*, *kurs*, *trumna* (dla postrzegających świat w nieco mniej optymistyczny sposób), *baton* (kolega zadławił się snickersem jadąc po raz pierwszy tymi liniami), *helmut* (ale tylko dla nowej-starej wersji z podwójnymi siedzeniami i wydającej dźwięki podobne do jadącego pociągu). Krąży

legenda o nowym modelu z dwustronnymi drzwiami i kawiarnianymi stoliczkami w środku (ciekawe czy będą przykryte ceratą w biało-czerwona kratkę?).

Faktycznie, nawet skrajne malkontenctwo nie przesłoni: aż nadto klimatyzowanych drzwi w zimowe dni, prysznicowego natrysku z okien podczas ulewy, romantyczno-aromatycznej mgiełki kurzu – nie mylić z dymem – w upalne lato podczas pędzenia przez pola i ugory (a tego tu pod dostatkiem). Na zakrętach można dostać palpacji serca, bo tramwaj za mocno się odchyła. Chociaż z drugiej strony to gratka dla miłośników Tuwima; można jak on *zażyć szaleńczej jazdy na pierwszej platformie tramwaju* – taki sport ekstremalny, ale kto byłby na tyle odważny poza motorniczym. Gdzie indziej można poczuć zapach palonych hamulców (choć coraz częściej pomysł ten „kradną” linie miejskie). Jednak największym fenomenem jest ogrzewanie, które działa wtedy, kiedy jest ciepło. Wydedukowane teorie studentów Politechniki mówią, że takiego zjawiska jak ogrzewanie nie ma, to tylko ciepło silników. Ale oni się nie znają. Jednak „43” jeszcze nigdy nie osiągnęło szczytu doskonałości: żaden nie zgubił silnika, nie rozpadł się na dwie części itp.

W każdym razie zasadny jest wniosek, aby umieścić nad bramą zajezdni Brus tabliczkę z napisem „muzeum” (będzie taniej, bo po co tworzyć nowe, skoro już jest). Unikatową atrakcją będą nadal jeżdżące nierestaurowane tramwaje, i to nie tylko w mniemaniu przewodnika muzealnego lub kustosa. Jak szczęśliwi muszą być historycy, mając okazję podróżować nimi do Instytutu niemalże codziennie.

Być może uczestnicy ruchu tramwajów podmiejskich któregoś dnia staną się przedmiotem nowatorskich badań antropologicznych naukowców z Katedry Etnologii. Socjolog powiedziałby, że jesteśmy tak przyzwyczajeni do absurdu „43”, że trudno żyć bez niego. Tylko zastanawia, co jest większym paradoksem: to, że te tramwaje jeszcze jeżdżą czy to, że ludzie jeszcze z nich korzystają, bo lepszego połączenia nie ma.

Karolina Sikała
ja_karusia@wp.pl

Warszawka

Z punktu widzenia logiki dwa blisko siebie położone ośrodki metropolitalne są skazane na konkurencję. Ta zaś sprzyja antagonizmom. W ten sposób tłumaczyć można napięcia pomiędzy takimi ośrodkami jak Warszawa i Łódź czy konflikty toruńsko-bydgoski i kalisko-ostrowski. Efektem tych animozji są ciekawe z socjologicznego punktu widzenia opinie mieszkańców rywalizujących miast. Czy sytuacja ta zawsze musi prowadzić do powstawania niezdrowych stereotypów?

Teoretycznie tak. Dwie rywalizujące ze sobą na tak wielu płaszczyznach społeczności musiały przecież wytworzyć zespół wyobrażeń i stereotypów na swój temat. W rezultacie powstał niezbyt barwny korowód, złożony z jednej strony z głębokiego przekonania o warszawskim spisku, mającym na celu pogniębienie Łodzi, którym od stu lat lokalni politycy tłumaczą nam własne lenistwo i nieudolność. Drugi koniec stanowi kompleks, nakazujący niektórym jednostkom ze stolicy całą resztę kraju widzieć w roli „zapyziałej prowincji”. Obłudę uczestników wspomnianego korowodu najlepiej pokazują pewne fakty. Jakkolwiek bowiem lobby warszawskie nie byłoby silne, dziwi to, że właśnie łodzianie od lat okupują różne dygnitarskie stanowiska w stolicy! I nie przeszkadza im to w kultywowaniu starej śpiewki. Z kolei ci warszawianie, którzy czują się bardziej „światowi” od innych, potwierdzają swoim zachowaniem pokutujący w kraju stereotyp „snobistycznej Warszawki”. Czyż nie jest on dla stolicy krzywdzący?

Nie ulega oczywiście wątpliwości, że efekty tej wojenki w skali mikro są dla obu miast opłakane. Odpowiedź na pytanie, jak głęboko zakorzenione są zatem te stereotypy, może dać nam szansę ich przełamania. Przy bliższej analizie zdają się chyba być jedynie płytką mielizną, na której osiadając lokalne społeczności chcą tłumaczyć sobie świat w najprostszy z możliwych sposobów, czyli poprzez dowartościowanie samych siebie. Strona słabsza wytwarza u siebie kompleks niższości, stronę pozornie silniejszą ośmieszają jej

aroganckie zachowania. A na przekór temu wszystkiego mądrzy ludzie rysują śmiałe wizje duopolis rywalizującej skutecznie nawet z takimi tuzami, jak Berlin i Wiedeń.

Kamil Śmiechowski
xk@gazeta.pl

Krowy i czarownice...

Zanim napiszę zdań kilka na ten ciekawy i inspirujący temat, wpierw wyjaśnię, skąd wziął się pomysł tegoż. Otóż na jednym z zebrań naszego Koła Naukowego członkowie z zapartym tchem rozdysponowywali między siebie stare, niepotrzebne naszej instytutowej bibliotece książki i broszury. Mocno pożółkły papier i daty wydania osadzone w latach od 50-tych do chyba nawet 70-tych były tym, co cechowało owe materiały. Przeglądając kolejne ważkie pozycje, co chwila ktoś czytał tytuł pracy z nieukrywaną nutą rozbawienia lub niezrozumiałym spojrzeniem, które w wolnym tłumaczeniu miało oznaczać: CO TO MA BYĆ? Po mniej więcej kwadransie każdy z nas miał już odłożone zdobycze, a także... pylicę płuc od kurzu.

Ja także wypatrzyłem broszurkę, dzięki której powstaje ten artykulik. Opatrzona znakiem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego praca Bohdana Baranowskiego z 1967 r. robiła pierwsze wrażenie raczej mierne. Bładożółtawa, mało efektownie opracowana graficznie okładka z dużym bijącym po oczach tytułem koloru z tamtej epoki (tzn. czerwonym) a mianowicie: *Zanik tradycyjnego chowu krów oraz wierzeń i zabobonów z nim związanych na terenie obecnego województwa łódzkiego*. Bestseller to raczej nie był, ale na mnie podziałało jak przysłowiowa płachta na byka. Chów krów i w dodatku zabobony... istnie historyczny temat, jak dla mnie dobry na „Rozmowy w toku”, a nie naukowe badania. Po chwili jednak przypomniałem sobie, że nie takie fanaberyczne pomysły już słyszałem. I tak, dla przykładu, rozmawiając kiedyś z archeologami – pasjonatami na tematy dotyczące Egiptu wraz z kolegą z roku nie pierwszy raz popuściliśmy wodze fantazji. Zaczęliśmy wymyślać zabawne (naszym zdaniem) tematy do pracy magisterskiej dla archeologów (taka interdyscyplinarna pomoc). Zaproponowałem z uśmiechem na twarzy: *Hodowla krów nubijskich za Ramzesa Wielkiego*. Nasza dwójka historyków śmiała się głośniej niż pozwalają na to normy BHP, jednak zderzyliśmy się z chłodnymi i poważnymi spojrzeniami archeologów. Jeden z nich ze spokojem odparł: „a masz do tego materiały?” i po chwili dokończył całkowicie załamując moje postrzeżenie prac naukowych: „wiesz kilka lat temu powstała praca dotycząca znaczenia nerki w Egipcie”... Od tej pory wiem jedno: nic mnie już nie zdziwi!

Wracając do mojej zdobycznej broszurki, z pasją zacząłem wertować i dogłębnie analizować szczególnie ostatni rozdział, *Magiczne wierzenia ludowe związane z chowem krów*. Po przeczytaniu go... z niedowierzaniem... przeczytałem jeszcze raz!

Moja fantazja pobudzała się z linijki na linijkę. Dzięki szanownemu autorowi tego tekstu wiem teraz, że głównym wrogiem krowy od zawsze była... czarownica – współniczka diabła! Zła kobieta, wiedźma – dotąd nie wiem, czemu tylko ta płeć tak krów nie lubi – od zawsze rzucała czary na bydło i zabierała mu mleko! Tak więc posiadacze tych niezwykle pożytecznych zwierząt musieli najzwyczajniej w świecie zacząć bronić się. Generalnie najlepszym sposobem były magiczne zabiegi. Czytając o nich pomyślałem, że część należałoby zastosować, by poskromić kilku przedstawicieli naszej sceny politycznej... Chcąc wykryć domniemaną czarownicę należało garnek z mlekiem postawić na płocie i do niego strzelić – wówczas zabijano czarownicę. W przypadku braku broni palnej można było ów garnek rozbić kamieniem, czarownica chodziła później ze spuchniętym okiem lub olbrzymim guzem na czole. Innym sposobem było gotowanie mleka od zauroczonej krowy na ogniu; cierpiąca wówczas straszliwe bóle czarownica przychodziła sama do chałupy i starała się zestawić mleko z ognia. Skuteczne było również dokuczanie czarownicy: do gotującego się mleka wkładano brzytwę lub część mleka wylewano do gnojówki lub ustępu, aby się czarownica „nawąchała”. Także i same krowy zabezpieczano przed czarami – dawano im do

jedzenia specjalne zioła lub polewano paszę wodą święconą. W oborze wieszano wianki z poświęconych ziół lub zakopywano pod progiem kawałek żelaza bądź starą miotłę. Czarownice jednym słowem miały ciężki żywot! Przykładem mogą być również procesy o czary, związane z odbieraniem mleka. Za symboliczną pomocą tortur wszystkie przesłuchiwane przyznawały się do tych jakże ohydnych praktyk!

Chciałbym w tym miejscu zakończyć kwestię czarownic, choć autor recenzowanej przeze mnie pracy niejedno jeszcze ciekawe zdanie o nich napisał ☺. Warto bowiem jeszcze przytoczyć kilka praktyk stosowanych w hodowli bydła. Dowiedziałem się między innymi, że gdy krowa nie chciała się „latować” (tak, ja też nie wiedziałem, o co chodzi), stosowano ciekawe magiczne zabiegi. Dawano krowie wyjątkowo słonego śledzia, szepcząc jednocześnie do ucha słowa: *A idźże do byka*. Do tego dochodziły inne praktyki, tj. obchodzenie stodoły przed wschodem słońca.

Zafrapowały mnie informacje, że dawniej możliwe było planowanie cielęcia konkretnie rodzaju męskiego albo żeńskiego. Wystarczyło szepnąć do ucha krowy: *bysiu, bysiu*, gdy chciano mieć byczka lub *jaloś, jaloś*, gdy chciano cieliczki. Inny sposób to mieszanie napojów dla krowy siekierką lub nożem, gdy chciano byczka lub łyżką, jeśli właściciele pragnęli cieliczki. Ciekawe jest również to, że związane z bydłem obrzędy dotyczyły również pasterzy. Znaczono im kapoty lub czapki znakiem krzyża, znieścaka oblewano ich wodą święconą lub też zalewano nią oczy, by nie zasypiali. Niektórzy w tym ostatnim przypadku byli bardziej skrajni w swym działaniu, otóż niekiedy pastuszkom... pluto w oczy!

Wiele wierzeń związanych było również ze świętami religijnymi, ja wspomnę tylko o Bożym Narodzeniu. Powszechnie wiadomo, że w noc wigilijną zwierzęta rozmawiają ze sobą ludzkim głosem, kto jednak chciałby podsłuchiwać, naraża się na nieszczęście, tak więc jeszcze nikt tego nie słyszał ☺. Wspomnę jeszcze o dużej mądrości i inteligencji krowy, która nie bardzo chce ją ujawnić przed ludźmi. Rzekomo umie się ona nawet modlić, a jej sapanie tłumaczone było niekiedy jako odmawianie pacierzy. Różne przekazy mówią, iż każda krowa ma swojego opiekuna, w postaci zwierzęcia – jaskółek, łasic czy... węży. Te ostatnie przychodzą do obory i wysysają mleko krów, co im jednak nie przeszkadza, a nawet powoduje przyzwyczajenie; stąd, gdy ich nie ma, to krowy... tęsknią!

Bydło było dla autora tematem na tyle ciekawym, że, jak widać, postanowił napisać naukową pracę na ten temat. Mnie osobiście zaciekał tylko ostatnim rozdziałem gdzie odnalazłem intelektualną pożywkę i inspirację do napisania tego artykułu. Drodzy Czytelnicy, przedstawiając wam moje refleksje po lekturze przypadkowo odnalezionej pracy miałem na uwadze jedno – historia to nie tylko wojny i polityka, to także zaspokajanie ciekawości! Jedni robią to, bo to lubią, inni jak widać z przytoczonej przeze mnie broszurki, podchodzą do tego bardziej poważnie. Jak podchodzi każdy z nas zostawiam osobistej ocenie!

Grzegorz Lesiewicz
grzesiekpoczta@o2.pl

Skarby „Magdeburga”

– Lonty zapalone! – przebiegł okrzyk przez okręt. Nikt jednak nie wydał tego rozkazu, lonty zostały zapalone przez pomyłkę, za wcześniej. W ciągu czterech i pół minuty niemiecki krążownik „Magdeburg” miał wylecieć w powietrze.

Nie było by w tym wydarzeniu nic szczególnego, ot zwykłe zatopienie, rzecz częsta w czasie działań wojennych. Ale nie samą armią zwycięża się wroga. Zawsze bowiem istnieje tajemnicza siła, która potrafi zmienić losy wojny. Klucz do tego sekretu podczas I wojny światowej znajdował się na „Magdeburgu”. To, co się znajdowało na jego pokładzie, miało nieocenioną wartość dla kryptologii.

„Magdeburg” był małym krążownikiem, trzyletnim, dobrze uzbrojonym (dwanaście szybkostrzelnych dział kalibru 105 mm), szybkim (27, 6 węzła). W sierpniu 1914 r. krążownik wypłynął z Kłajpedy pokryty szarą farbą maskującą. Jego głównym zadaniem było prowadzenie prób z torpedami. W czasie wojny wypełniał zadania typowe dla krążownika. Pod koniec sierpnia utworzono zespół specjalnego przeznaczenia pod dowództwem kontradmirała Behringa, złożony z trzech torpedowców, okrętu podwodnego i trzech małych jednostek. 25 VIII 1914 r. okręty miały wyruszyć w stronę Zatoki Fińskiej. Na trasie kursu znajdowała się zagroda minowa „Deutschland”, dlatego okręty zmieniły kurs. W międzyczasie zapadł zmierzch, co utrudniło nawigację wśród wysepek. Po godzinie 21 okręty niemieckie straciły kontakt wzrokowy między sobą i od tej pory porozumiewały się wyłącznie zaszyfrowanymi rozkazami.

26 VIII 1914 r., tuż po północy, dopełnił się los „Magdeburga”. Okręt wskutek błędu nawigacyjnego osiadł na mieliźnie w pobliżu wyspy Odensholm u wejścia do Zatoki Fińskiej. Zrzucano kotwice i łańcuchy, wypompowano wodę pitną i do mycia, amunicję przeniesiono na rufę, a jej część znalazła się za burtą, podobnie jak węgiel oraz wszelkie ruchome części metalowe. A czas nakazywał się spieszyć w obawie przed władzami rosyjskimi, które zawiadomiła obsada latarni morskiej na Odensholmie. Pomimo rozpaczliwych prób okręt ani drgnął. Część książek kodowych z kluczami szyfrowania spalono, a część pozostawiono, aby móc się porozumiewać z dowództwem i ratownikami z V-26. Przy ewakuacji z krążownika i te znalazły się w wodzie. Niedługo potem pojawiły się okręty rosyjskie, które rozpoczęły ostrzeliwanie. Reflektory elektryczne pozwoliły Rosjanom na wydobywanie z wody wyrzuconych książek kodowych (miały woreczki z ołowiem, by można było je łatwo zatopić). Z wraku „Magdeburga” uzyskano jeszcze jedną książkę z numerem 151. Jej zawartość to setki stron pokrytych kolumnami grup kodowych z niemieckimi słowami obok. Trafiła ona do powołanej w pierwszych dniach wojny agencji brytyjskiej Admiralicji, zajmującej się łamaniem kodów. A ponieważ admirał eskadry niemieckiej nie zameldował o możliwości utraty tejże, a doniesienia na ten temat i śledztwo Niemcy ignorowali, kryptolodzy angielscy nie mieli problemów z odszyfrowywaniem depech Hochseeflotte.

Oczywiście ładunek „Magdeburga” nie był jedynym kryptologicznym darem morza. Był on jednakże przełomem w pracy nad niemieckimi depechami morskimi. Dopiero w trzy lata po utracie głównego kodu marynarka niemiecka wprowadziła zmiany, które i tak okazały się niewystarczające. Był to największy błąd w kwestii zabezpieczeń łączności, do czasu Enigmy.

Justyna Antczak
vinsanity15@interia.pl

Z przyjemnością informujemy, że w naszym Instytucie znajduje się ogólnodostępna, profesjonalna i nowoczesna Pracownia Kserograficzna i Introligatorska. W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:

- *Kserokopie A4 od 6 do 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.